



I MIEJSCE W KATEGORII SZKOŁY PONADPODSTAWOWE JOANNA BRZENCZKA

„Pomiędzy Słońcem, Zeusem, Hadesem a Pogodą”

Słońce kręci się wokół Ziemi. Dostarcza nam światła i energii. Przepędza mroki nocy. Sprawia, że rośliny kwitną. Zmieniają się pory roku. Tak ludzie żyją. Tak ludzie umierają. Chcieliśmy. Podporządkować sobie Słońce. Zdobyć je. Jak zdobyliśmy księżyc. Lecz Ono jest za gorące. Roztopia nasze ambicje; Zostają tylko kości. Skazane na śmierć i proch grobowy. Na Mount Everest siedzi Zeus. W tym roku to on wygrał wybory na prezydenta Ziemi. Jego kadencja kończy się dopiero za pięć lat. Więc jeszcze trochę sobie porządzi. W jego programie wyborczym widnieje. Podbój nowych galaktyk. Polecił budowę statków kosmicznych. I zbrojenia przeciw kosmitom. Zeus jest jak Kolumb. Odkrywa nieznaną ląd. A później (już nie jak Kolumb) niszczy rdzenną kulturę. Dlaczego? Dlatego, że uważa się za kogoś bardziej rozwiniętego. Kogoś lepszego. Kogoś kto może panować nad innymi. Bo skoro zdobyliśmy księżyc. Jedyne Słońce ciągle krąży wokół nas, jak zechce. Dostarcza na światła i energii. Przepędza mroki nocy. Ale też zabija swoją potęgą. Kiedy jesteśmy za blisko. Jest nadal swoim panem. I żaden Zeus czy następny prezydent nie będzie. W stanie tego zmienić.

Stoję na werandzie przed moim domem. Obserwuję. Słońce wyłania się z mroku nocy. Niebo przybiera barwę delikatnego różu. Jest urocze, jak urocze bywają dziewczęta w młodości. Ptaki śpiewają piękne serenady. Kropelki rosy pojawiają się na moich czerwonych begoniach. Wciągają głęboko powietrze do płuc. Jest rześkie. Pobudza lepiej i smaczniej, niż poranna kawa. Rozkoszuję się tą chwilą. Zaczęłam ją doceniać odkąd. Zamknęłam furtkę na klucz. Teraz jestem sama w domu. Nie przyjmuję żadnych gości. Sama ze sobą toczę codzienną walkę o przetrwanie. Zaczęłam wstawać o świcie. Obserwować przez cały dzień ulice. To pobudza moje myślenie. Dostarcza inspiracji. Sprawia, że podróżuję po niebie ze Słońcem.

Czerwone begonie rosną na balustradzie. Są drobne. Ich okrągłe płatki błyszczą się. Mają żółte środki. Które przypominają nieco Słońce. – Są tak samo okrągłe jak one; Jest w nich pewna radość. Może dlatego, że ciągle kwitną. A więc odradzają się. Chcą nadal żyć na mojej balustradzie. W moim niewielkim świecie zamkniętym na klucz.

Słońce weszło już zupełnie. Niebo stało się błękitne, pełne puszystych chmur. Za chwilę na horyzoncie pojawią się pierwsi ludzie. Przedstawienie się zaczyna. Kurtyna w górę!

Ulica jest spokojniejsza niż wcześniej. Auta rzadko tutaj jeżdżą. A spacerują jedynie ludzie z maseczkami. Ich twarze są ukryte. Widać tylko oczy. Czasem rozglądają się one na wszystkie strony, jakby z obawą. Czasem wydają się zmartwione. Spanikowane. Pospieszne, tak że popędzają nogi do jeszcze szybszego marszu. Przechodzą obok mnie. Nie zauważamy siebie nawzajem. Bo oni przechodzą. Zmierzają do celu. A ja po prostu obserwuję ich, teoretycznie beczynnie. Dla mnie to wielka nauka. Czasami wśród tych spacerowiczów widzę siebie. Swoje odbicie w krzywym zwierciadle.

Siadam na krześle. Jestem znudzona tą rzeczywistością. A krzesło jest ukryte za czerwonymi begoniami. Obserwuję świat w spokoju. Z dala od wścibskich spojrzeń. Teraz nikt mnie nie widzi. Tylko Słońce spogląda na mnie czasem. Ogrzewa mnie swym blaskiem. I sprawia, że. Pot spływa mi po czole kropelkami nienawiści; Ukryta za kwiatami. Patrzę na świat przez zielone liście. Przyglądam się sąsiadce z naprzeciwka. Wypatrzyłam ją pomiędzy czerwonymi kwiatami. Trzyma w ręce telefon. Spaceruje pomiędzy swoimi grządkami amarylisu. Które pielęgnuje bardzo starannie. Rozmawia. Myślę, że. Wydaje rozkazy. Prowadzi firmę. Notabene bardzo dochodową. Wielu podziwia ją za jej gromowladność



i piękne amarylisy. Ludzie uważają, że. Ona jest przyszłością. A amarylisy będą. Rosły *do końca*; Śmieje się. Na głowie mojej sąsiadki z naprzeciwka siedzi Zeus. W ręce trzyma piorun. Błyska nim na wszystkie strony. Ma pewien pomysł. Wizję. Chcę zapanować nad światem. Ale nic nie idzie po jego myśli. Wszystko kończy się fiaskiem. Zeus chyba zapomniał. Że jest tylko prezydentem. I nie ma takiej władzy. A śmieję się. Bo to komicznie wygląda. Te dwie stykające się ze sobą natury. Ona [sąsiadka] jest radosna. Uśmiecha się. Kiedy wydaje rozkazy. Z kolei on [Zeus] okropnie się złości. Wygląda przy tym jak pięcioletnie dziecko. Które nie dostało pod choinkę wymarzonej zabawki. Grymasi. Ma twarz. Powykrzywianą na dwie strony. A oczy pełne desperacji; Kto siedzi na mojej głowie? Myślę.

Jest południe. Zanurzam się jeszcze głębiej w sobie. Jadę windą do góry i na dół jednocześnie. W mojej głowie nie ma żadnych praw ani granic.

- Dlaczego każesz nam teraz tak cierpieć? – pytam Wirusa zdesperowana i pełna wewnętrznej goryczy.

Wirus milczy, tylko patrzy na mnie tajemniczym wzrokiem. Jedno jego oko przypomina mi blask Słońca, drugie zaś jest dla mnie przerażającą otchłanią Hadesu, w którą boję się nawet spojrzeć. Teraz dominuje pierwsze oko i mam nadzieję, że tak już pozostanie.

- Powiedz dlaczego, powiedz! – krzyczę, przypominając sobie o mojej samotności i innych leżących już głęboko w ziemi.

Nadal wydaje się niewzruszony – jest stały jak oaza na pustyni, ale do takiej oazy nie chciałabym dotrzeć, myślę. Jest we mnie dużo nienawiści, nie wiem, czym sobie zasłużyłam na taki los.

- Opowiem ci pewną historię, może będziesz nią zaskoczona... - odezwał się w końcu, a jego głos nie był ani męski, ani żeński, tylko neutralny, znowu obojętny.

*

- Proszę, mamu pobaw się ze mną! – błagał czteroletni Kamilek, ciągnąc mamę za rękaw.

Było sobotnie przedpołudnie, pogoda była piękna, a niebo niemal bezchmurne. Marzec zaczął się spokojnie, ale już jego kolejne dni dostarczyły rodzicom Kamila mnóstwo pracy. Oboje pracowali w Międzynarodowym Stowarzyszeniu Hoteli i Restauracji na wysokich stanowiskach, przez co często nie mieli czasu dla swojego synka. Najbardziej na świecie absorbowwała ich tzw. pogoń za pieniądzem – bo przecież musieli zapewnić swojej rodzinie godne życie – oraz wspinanie się po drabinie społecznej, by zaspokoić swoją pierwszą podstawową rządę.

- Nie teraz synku, widzisz że mamusia pracuję – odparła mama, nawet nie spoglądając na Kamila, gdyż była bardzo zajęta odpowiadaniem na pytanie pewnego zamożnego handlowca.

- Ale mamu jest sobota, sama mówiłaś mi kiedyś, że pracujesz tylko od poniedziałku do piątku.

- Tak, tak, pamiętam, mówiłam. Lecz to wyjątkowa sytuacja, w naszym stowarzyszeniu może się trafić nie lada transakcja i grzechem byłoby jej nie wykorzystać. Idź do taty, może on będzie miał dla ciebie czas – dodała, wpatrując się intensywnie w ekran komputera.

Kamilek zostawił mamę w swoim gabinecie i udał się na poszukiwanie taty. Znalazł go w garażu, naprawiającego zepsutą szafkę na piłki.

- Tato, pobawisz się ze mną, pobawisz? – zapytał chłopiec z nadzieją, jego oczy w nikłym blasku żarówki emanowały dziecięcą naiwnością, która urzekłaby każdego, kto tylko by w nie spojrzał.

- Co mówisz, możesz powtórzyć?



Chłopiec dopiero teraz zauważył, że tata miał w lewym uchu czarną słuchawkę, z której wydobywały się dźwięki mocnej muzyki rockowej.

- Pobaw się ze mną, pobaw, pobaw! – krzyczał Kamilek, skacząc wokół ojca.
- Stój, uważaj! Nie skacz tak, naprawiam szafkę na twoje piłki nie widzisz? Tutaj leży pełno ostrych przedmiotów, stój spokojnie, bo jeszcze się skaleczysz – zdenerwował się, kątem oka obserwując syna. Kamilek stanął w miejscu, przestraszony gwałtownym wybuchem ojca.
- To nie pobawisz się ze mną, proszę pobaw się?
- Teraz jestem zajęty, idź do mamy, może ona znajdzie dla ciebie czas.
- Ale ja już byłem u mamy, mama pracuje!
- To idź pooglądać sobie telewizję.
- A pobawisz się ze mną później, proszę? – zapytał błagalnie i uśmiechnął się najładniej, jak potrafił.
- Dobrze, już dobrze, pobawię się, tylko daj mi teraz spokój, okay?
- A obiecujesz, że się pobawisz?
- Przecież powiedziałem, że tak, idź już, mam jeszcze kupę roboty i wcale nie więcej czasu!

Kamilek posłusznie włączył telewizor i przez jakiś czas z zainteresowaniem oglądał dziecięce kreskówki. Szybko jednak ruchome obrazki zaczęły go nudzić, chłopczyk przeskakiwał z kanału na kanał, a gdy nie znalazł na żadnym z nich nic interesującego, wyłączył telewizor i poszedł do ogrodu. Ciekawy świata malec eksplorował każdy zakątek ogrodu, uważnie przyglądając się każdej mrówce i każdej maleńkiej biedroneczce czy pszczołce, którą spotkał. Jednakże to wszystko, co odkrył, nie przyniosło mu trwałego zadowolenia. Chłopiec najbardziej pragnął, jak ptaki wzbić się w błękitne i gdzieniegdzie pokryte puszystymi chmurami niebo, by móc zasmakować prawdziwej wolności i naprawdę podziwiać otaczającą go rzeczywistość. Lecz niestety nie był ptakiem, nie żył w stadzie, gdzie każdy troszczy się o każdego, a na ziemi, samiuteńki pośród dużego ogrodu i wystawnego domu.

- Kamil, chodź na obiad, no chodź, chodź!
- A co dzisiaj będziemy jedli?
- Zupę ogórkową, jedz i nie marudź.
- Ja się tylko pytam, nie marudzę – zażarcie bronił się Kamilek, choć faktycznie nie przepadał za zupą ogórkową, która wydawało mu się za kwaśna, pozbawiona jakiegoś wewnętrznej słodyczy;

Włączony telewizor głośno podawał najnowsze wiadomości. Mama i tata Kamilka wpatrzeni w ekran nie zwracali większej uwagi na swojego syna, który bezwiednie bawił się łyżką - jednak nie potrafił się przemóc do zjedzenia tej okropnej zupy.

- Mogę wam coś opowiedzieć? – zapytał malec, chcąc przykuć uwagę rodziców i choć trochę odsunąć w czasie zjedzenie zupy.
- Cii, nie teraz, właśnie podają najważniejsze informacje, jedz – odparł tata, pomimo że sam zafascynowany najnowszymi wiadomościami, zapomniał o jedzeniu.

Kamilek pomyślał, że jak zje szybko i bez grymaszenia tę okropną zupę, to może zwróci tym uwagę rodziców i może w końcu się z nim pobawią albo przynajmniej posłuchają o jego pragnieniu bycia ptakiem. Więc malec, dzięki swojej olbrzymiej sile woli, do ostatniej łyżki zjadł to kwaśne danie. A jakże był z siebie zadowolony, kiedy skończył, wręcz jego szczęście nie znało granic, bo nie dość, że miał już za sobą tę obrzydliwą, przeraźliwie kwaśną ogórkową zupę, to jeszcze nudne wiadomość nareszcie dobiegły końca, więc teraz już nic nie stało na przeszkodzie, aby rodzice razem z nim się pobawili. Malec analizował, a gdy doszedł do tej cudownej konkluzji, jego oczy zaświeciły się radośnie, a usta wygięły się w pięknym perłowym uśmiechu.

- Skończyłem jeść, czy teraz pobawicie się ze mną?



- Skończyłeś już jeść, bardzo się cieszę; więc w porządku, pobawmy się – powiedziała mama z lekko uniesionymi brwiami, zdziwiona, że jej czteroletni synek zjadł zupę ogórkową bez grymaszenia.

- Bawmy się, bawmy się!

- Dobrze, dobrze to idź przynieś jakąś planszówkę, zagramy w coś.

Malec z radości tanecznym krokiem pobiegł do swojego pokoju w poszukiwaniu najdogodniejszej zabawy. Po skrupulatnym rozłożeniu wszystkich gier planszowych, które posiadał, w końcu wybrał tę najprostszą i najbardziej popularną zarazem – chińczyka. Znowu pełen szczęście zbiegł ze schodów, a jego entuzjazmowi nie było końca. Rozłożył plansze oraz wszystkie potrzebne pionki na stole i zapytał:

- Powiedzcie, jakimi chcecie być kolorami?

- Ja będę żółtymi, a mama niech zagra niebieskimi – zdecydował tata, zawsze to on podejmował w tym domu najważniejsze decyzje.

- A ja będę czerwonym, będę czerwonym! – śpiewał, układając pionki na odpowiednich polach.

Kiedy już wszystko stało, tak jak powinno, Kamilek, jako najmłodszy gracz, rzucił pierwszy kostką – szczęśliwym trafem wyrzucił sześć oczek. Uradowany malec wyszedł swoim czerwonym pionkiem z bazy i rzucił ponownie kostką – tym razem miał mniej szczęścia, trafił bowiem zaledwie jeden. Następnie mama przymierzała się do rzutu, już machnęła nadgarstkiem, wypuszczając z ręki małą kosteczkę, kiedy to zadzwonił głośno telefon leżący w pokoju obok. Mama pobiegła odebrać, nie zwracając już najmniejszej uwagi na grę; Po chwili wróciła i spanikowana krzyknęła do męża:

- Zapomniałeś, jak mogłeś zapomnieć!?

- Co jest, o co ci chodzi?

- Dzisiaj jest siódmego marca, zapomniałeś?

- Cholera, zapomniałem, dlaczego wcześniej mi nie przypomniałaś! – tata gwałtownie zerwał się z miejsca, tak że krzesło na którym siedział spadło z hukiem na podłogę. Rodzice zaczęli się kłócić, przeklinać na siebie nawzajem i rozdrapywać stare rany. Kamilek nic nie rozumiał z tej głośnej gadaniny, ale jedno w tym całym chaosie było dla niego pewne – rodzice już nie powrócą do dopiero co rozpoczętej gry. Westchnął ze smutkiem, naraz opuściła go cała radość, której jeszcze przed chwilą miał w sobie tak wiele. Pozbierał poukładane pionki, złożył planszę, postawił krzesło nadal leżące na ziemi, a na końcu podniósł kostkę rzuconą przez mamę, która dziwnym trafem znalazła się na podłodze pod stołem. Chłopiec zauważył, że na kostce było wyrzuconych sześć oczek – mama miałaby szczęście w grze, gdyby tylko chciałyby dalej zagrać, pomyślał odkładając chińczyka na miejsce, do innych drogich, ale nigdy nieużywanych gier planszowych.

- Pobawicie się ze mną, proszę? Bo nikt od zamknięcia przedszkola się ze mną nie bawi i bardzo mi się nudzi – błagał Kamilek rodziców, którzy oglądali w tym dniu już trzecie wiadomości.

- Szczerze mówiąc, sama jestem znudzona, obrzydła mi już ta telewizja; no to co, możemy się w coś pobawić, przynieś coś – powiedziała mama, przeciągając się na kanapie; wyłączyła telewizor, pomimo lekkiego protestu taty.

Shczęśliwy chłopiec pobiegł do swojego pokoju i tak jak ostatnim razem przyniósł ze sobą chińczyka - tak rozpoczęła się zażarta rodzinna rywalizacja o zwycięstwo. Najpierw prowadził tata, ale już po chwili jego najbardziej wysunięty do przodu pionek został zbity przez Kamila, który to z kolei wysunął się na prowadzenie, lecz jak się okazało nie na długo, bo już po kilku kolejkach jego czerwoniutki pioneczek został brutalnie i niespodziewanie zbity trzema szóstkami przez mamę, która właśnie chciała... Wtem w drugim pokoju zadzwonił głośno telefon, a był to dźwięk nieznośnie przeraźliwy, który trudno byłoby



zignorować. Kamilek przerażony spojrzął na mamę, ale mama niewzruszona kontynuowała grę.

- Telefon dzwoni, nie odbierzesz? – zapytał tata, patrząc ze zdziwieniem na żonę.

- Nie, teraz gramy, później oddzwonię.

- A jeśli to coś ważnego, co nie może poczekać?

- To i tak oddzwonię; podczas tych kilku tygodni spędzonych tu z wami w domu zrozumiałam coś bardzo istotnego...

...

- Teraz twój ruch tato, graj, mam już skończyła przesuwając swoje pionki – przypomniał Kamil, chcąc jak najszybciej wrócić do planszówki, skoro mama nie zamierzała już odbierać telefonów w trakcie gry.

- Dobra, dobra, już gram, tylko gdzie się podziała kostka?

I tak w bardzo przyjemnej atmosferze, bez włączonego telewizora i odbieranych telefonów, trzypięciorobna rodzina spędziła wieczór. Kamilek był taki szczęśliwy, że w końcu rodzice znaleźli dla niego trochę czasu; wręcz przyznał się przed samym sobą, iż byłby gotowy zjeść co najmniej pięć zup ogórkowych, by choć jeszcze raz zagrać z rodzicami w chińczyka.

*

- Fascynująca historia z pouczającym morałem na końcu, która jednak pokazuje tylko jedną stronę świata, w którym obecnie żyjemy – zauważam, a Wirus, teraz milczący, przygląda mi się uważnie.

Co on też takiego we mnie widzi, że tam mi się przygląda, myślę i mrużę oczy – również chcę mu się dobrze przyjrzeć i odkryć najskrytsze zakamarki jego duszy; posłuchać jak bije jego serce o dwóch obliczach – jestem bardzo ciekawa, na myśl czego bije bardziej, mocniej obija się o klatkę piersiową jakby z większym zainteresowaniem.

- Powiedz, kim jesteś? – pytam tym razem, nagle dogłębnie zafascynowana jego naturą. Czy to Słońce, czy to Hades, czy człowiek, czy wszystko razem wzięte? Rozważam znane mi możliwości, choć niewykluczone, że bardzo mylę się we wszystkich moich rozważaniach – w tym wypadku moja wiedza o świecie może okazać się niewystarczająca.

- Chcesz poznać tak zwaną drugą stronę medalu, jesteś tego pewna? – odzywa się, w jego czarnym oku dostrzegam niebezpieczny błysk. Nie wiem, czy chcę poznać prawdę, ale i tak kiwam potwierdzająco głową.

*

Czternastoletnia Kamila w pewien kwietniowy wieczór w czasie trwania pandemii, poczuła się bardzo źle. Trudno powiedzieć, czym było spowodowane jej nagłe okropne samopoczucie. A czuła się tak niedobrze, że wręcz przez chwilę miała wrażenie, że umiera. Przerażeni rodzice, widząc jej pogarszający się z minuty na minutę stan, postanowili zadzwonić na pogotowie.

- Numer alarmowy 999 słucham, w czym mogę pomóc? – odezwał się przyjazny i przepełniony spokojem głos na infolinii.

Spanikowani rodzice pokrótce opisali stan nastolatki i bardzo dokładnie odpowiedzieli na wszystkie pytania zadawane przez kobietę po drugiej stronie słuchawki.

- Zadzwońcie, zadzwońcie po karetkę – odezwała się słabym głosem Kamila, leżąca bezwładnie na kanapie.

- Kochanie, spokojnie właśnie rozmawiamy, już dobrze spokojnie, rozmawiamy – powiedziała płaczącym głosem mama, głaszcząc córeczkę po włosach.



Po chwili, dzięki radom kobiety z infolinii pomocy rodziców, Kamila poczuła się znacznie lepiej. Jednakże, gdyby faktycznie *teraz* Kamilka miała umierać, żadna karetka nie byłaby w stanie jej pomóc. Gdyż przez pandemię, lokalny szpital dziewczynki w całości został przekształcony w zamknięty oddział zakaźny, który to przecież *teraz* jest najważniejszym obiektem w mieście... W związku z tym nie radzę *teraz* umierać, bo najbliższy oddział ratunkowy znajduje się zaledwie 26 km stąd – więc jeśli już miałyby po nas przyjechać, to niechybnie nie zabrały nas, tylko nasze zwłoki.

Ujrzałam w czarnym oku Wirusa przerażającą otchłań Hadesu, która z każdym błyskiem satysfakcji zdawała się powiększać. Zamarłam i skuliłam się ze strachu; Och piękne, wspaniałe Słońce, które tak mocno świecisz mi w oczy, dlaczego nie przegonisz tego mroku z tego świata? Dlaczego pozwalasz nam błędzić, potykać się, kaleczyć, tylko dlatego, że nie potrafimy patrzeć w ciemności...?

*

Wirus powoli rozplywa się na moich oczach, po prostu znika z mojej głowy; Patrzę na ogród i widzę w nim grę światła i cienia. Uśmiecham się, bo taka jest prawda o naszej naturze.

Czerwone begonie zamykają swoje drobne główki. Są zmęczone po długim zasłanianiu mnie przed wzrokiem wścibskich obserwatorów. Poza tym już zbliża się zachód. Wieczór nadchodzi; Wstaję z mojego krzesła. Idę do ogrodu na tyłach domu. Wszystkie rośliny powoli szykują się do snu. Głaszczę je po ich drobnych liściach. Dotykam również samotnego igłaka, pomimo jego kłujące natury. Wodzę palcami po bujnej trawie. Kładę się na ziemi. I kąpię w promieniach zachodu. Chcę jeszcze. Odpowiedzieć sobie na kilka poważnych pytań. Ale nie mam już siły. Mój umysł jest wypełniony po brzegi i pusty zarazem. Więc po prostu patrzę, jak słońce zachodzi. Napełniam się czerwono-różowymi promieniami. Które wchodzą wprost do mojej duszy; Żadne słowa nie są w stanie. Wyrazić piękna tej chwili. Która choć w rzeczywistości trwa zaledwie przez krótki moment. We mnie zapisze się na wieki. Jako słodkie kilka minut wytchnienia u schyłku dnia.

Zachód wyszedł. Poszedł w gości do kogoś innego. Znika mi z oczu. Na niebie pojawiają się pierwsze gwiazdy. Jest ich kilka. Setki. Tysiące. Jak one to robią. Że codziennie udaje im się przewyciężyć mrok nocy. Który wydaje się taki nieprzenikniony. Och! Jakże ja je podziwiam, te małe gwiazdeczki. Podziwiam je za nadzieję. Którą w sobie noszą. I za to, że nie pozwalają, by ciemność całkowicie. Opanowała ten świat.

Nagle słyszę grę skrzypiec. Z obokurtego, niepomalowanego budynku z naprzeciwka, wydobywa się miarowa melodia. Jest ona melancholijna. Ale piękna w połączeniu z niezwykłym zapachem nocy. Zaczynam tańczyć. Łapię Pogodę. Choć to trudne, bo ciągle mi się wymyka. Ale jakoś mi się udaje, co prawda na krótki moment, ale jednak. Więc tańczę w spokoju z uśmiechem na ustach. Kołuszę się. Kręcę w kółko. Raz wznoszę się. A raz opadam. Jakbym tańczyła walca z wyimaginowanym partnerem. W tej szczęśliwej chwili towarzyszą mi gwiazdy. Które dodają mi nadziei.

I tak właśnie żyję z dnia na dzień. *Myśląc.*